

Franciszek W. Mleczek, Tadeusz Skoczek

"Być sobą" : rozmowa z prof. Franciszkiem W. Mleczeko (w trakcie pracy nad książką, która ukaze się w 2013 r.)

Niepodległość i Pamięć 19/1-4 (37-40), 266-274

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„Być sobą”.

Rozmowa z prof. Franciszkiem W. Mleczko

(w trakcie pracy nad książką, która ukaze się w 2013 r.)

– **Rozpocznijmy od czasów gdy wyszedł pan z domu, znalazł się w internacie szkoły średniej w Brzesku i zaczął bardziej samodzielne życie. Kto wtedy miał na pana największy wpływ?**

– Moja nauczycielka chemii i przez pewien czas opiekunka klasy, pani Maria Schybal, której chyba byłem ulubieńcem i profesor Stanisław Stefański, polonista w Państwowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym w Brzesku.

Pani Schybal wyobrażała sobie, że zostanę chemikiem, co mnie nieco denerwowało, bo nigdy nie miałem takiego zamiaru. Często chorowała. Czasem posyłała mnie wtedy do młodszych klas, żebym poprowadził za nią lekcję. „Odwdzięczyłem się” jej w okrutny sposób, w noworocznej szopce, w której przepis na stworzenie jej postaci brzmiał w oparciu o Słowackiego: „wrzucie ziarnko złości małe, dwa morały przestarzałe i nic więcej”. Ona to zniosła i nadal nade mną pracowała. Bardzo chciałem z nią teraz porozmawiać. Idee łączenia wiedzy humanistycznej z przyrodniczą zrozumiałem o wiele później.

Stefański był opiekunem Samorządu Szkolnego w czasach, gdy byłem Marszałkiem Gminy Szkolnej, a równocześnie przewodniczącym Zarządu Szkolnego ZMP, zauroczonym socjalizmem. Jemu zawdzięczam to, że zrobiłem w tym okresie życia znacznie mniej głupstw niż mogłem być zrobić.

– **A po szkole średniej?**

– Antoni Makarenko.

– **Z powodu?**

– Wybierałem się na polonistykę UJ. Jako przodownik nauki miałem wstęp bez egzaminu. Po złożeniu dokumentacji spacerowałem po Rynku Krakowskim. W jednym z kiosków kupiłem *Poemat pedagogiczny* Makarenki. Zauroczył mnie opis jego pracy z trudną młodzieżą, z bezdomnymi. Gdy zaproponowano mi wyjazd na studia w Związku Radzieckim, zgłosiłem się na Wydział Pedagogiki i Psychologii, w nadziei, że nauczę się jak zostać Makarenką.

– **Potem studia, ludzie, których pan spotkał, zaskoczenia? Kogo pan teraz wspomina?**

– Pierwszym był bezimienny moskiewski pijak. Po przyjeździe do Moskwy, było nie było, stolicy Kraju Rad, który mieliśmy naśladować, przeżywaliśmy różne rozczarowania, ale mówiono nam, że wszystko co złe, to pozostałości kapitalizmu. My w to wierzyliśmy. Pewnego dnia, spotkałem się oko w oko z taką pozostałością kapitalizmu. Leżał na ulicy. Nikt się nim nie interesował. Przestraszyłem się, że to ktoś chory. Podszedłem – widzę pijak, bełkocze – „pomagi, pomagi” (pomóż). Pomogłem mu wstać. On pyta: „Kto ty?”. Odpowiadam: „Polak z Litwy”. Wiedziałem już, że Rosjanie boją się kontaktów z obcokrajowcami. Uspokoił się i mówi: „Ja mieszkam tu niedaleko, sam dojdę”. Ale ja, pełen humanitarnych uczuć odprowadziłem go do samego domu. W drzwiach pojawiła się jego żona i nasiadła z całym impetem na nas obu: „Wy pijanicy”. I do mnie: „Ty

taki synu rozpijasz mi męża!”. Wziąłem uszy po sobie i zwałem do akademika. Po kilku dniach, wracam z uczelni, a na naszym podwórku siedzi na ławeczce ów pijak. Taki jakiś porządnie ubrany. Ucieszył się na mój widok. Przyszedł mnie przeprosić i zaprosić do siebie. Żona chce mnie ugościć.

Mieszkali we dwie rodziny w jednym pokoju. Na czas mojej wizyty współlokatorzy wyszli, ale wkrótce wrócili. Chyba z ciekawości, co to za Polak z Litwy. Ale nikt za dużo o sobie nie mówił. Nie wymienialiśmy nawet nazwisk. Z moim pijakiem spotykaliśmy się później tylko przypadkowo. Pomagał mi w przygotowaniach do egzaminów, uczył tamtejszego życia. Po co ci czytać ten duży buch – mówił przed moimi egzaminami z historii ZSRR, ty powinieneś wiedzieć to, co „położono” (należy). A to krótko sformułowano w podręczniku dla szkół średnich. Nasi studenci to wiedzą. I przyniósł mi taki podręcznik. Zrobiłem tak, jak radził i dostałem piątkę.

Niestety, mój znajomy nadal często był na gazie. Kiedyś, gdy był tylko na półrauszu, zapytałem go: „Wowka, czemu tak dużo pijesz?”. Odpowiedział: „To nasza znieczulica”. Zrozumiałem to dobrze, gdy u Kosidowskiego przeczytałem, że w dyktaturze Inków ważne było stałe żucie koki przez plemiona podbite. Dyktatury potrzebują znieczulicy, pijaków, narkomanów, ludzi uzależnionych, niekoniciecznie od używek. Wtedy, w czasie naszych rozmów z Wowką jeszcze nie byłem pewien czy socjalizm to dyktatura, ale po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że my w Polsce zrobimy lepszy socjalizm. Po raz pierwszy wyobraziłem sobie rok 1956. Nikomu tego nie mówiłem, ale zapisałem w pamiętniku. Z pamiętni-

kiem miały miejsce wydarzenia, dzięki którym zjawili się kolejni ludzie, którzy zdecydowali o mojej przyszłości.

– **Kim oni byli?**

– Dygnitarzami i przyszłymi dygnitarzami PRL.

– **Kto konkretnie?**

– Adam Rapacki i Adam Kruczkowski (syn Leona, późniejszy wiceminister Spraw Zagranicznych w PRL). A rzecz miała się tak. Mój pamiętnik odkryła koleżanka, polska studentka, wpadająca często do naszego pokoju pod pretekstem czarowania nas i doniosła o nim do naszych władz zetespowskich. Było to w czerwcu 1951 roku. Mieliliśmy tzw. Biuro Studentów Polskich w ZSRR, równoważnik Zarządu Okręgowego ZSP w Polsce, któremu przewodniczył Adam Kruczkowski. Wykorzystując to, że donos wpłynął w czerwcu, gdy zdawano egzaminy, a potem wszyscy wyjeżdżali na wakacje do Polski, Kruczkowski ustalił z donosicielką, że o sprawie poinformuje władze partyjne „i zajmujemy się nią” zaraz po powrocie z wakacji. Tak się też stało. W październiku ogłoszono nagle, z inicjatywy odgórznej, zebranie partyjne i samorządowe polskich studentów w Instytucie Pedagogicznym, w którym studiowałem. Nie wiadomo w jakiej sprawie. Okazało się, że chodzi o mnie. Podobno, w pamiętniku, źle pisałem o Związku Radzieckim. Widziałem przestraszone miny koleżanek i kolegów, z którymi się przyjaźniłem, niektórym pomagałem. Po sformułowaniu zarzutu zabrał głos Kruczkowski. Mówił o bólu, z jakim przyjął tę informację, tym większym, że znaleźliśmy dotąd Franka (nie towarzysza, nie kolegę, a Franka!), jako „odpowiedzialnego towarzysza, przyjacielu ZSRR”. Moi współtowarzysze poszli tym tropem. Zaczęli wyrażać podobne zdziwienie i chwalić mnie

jako dobrego starostę grupy polskiej. Siedzący za plecami innych, mój kolega z pokoju, notował za co mnie tak chwaliłi. Wtedy Kruczkowski zabrał głos jeszcze raz i spytał, czy stawiająca zarzuty ma jakieś dowody. Okazało się, że nie ma. „Szukałam pamiętnika, ale nie znalazłam”. Wtedy wszyscy zaczęli już brać mnie w obronę. Wyszedłem z pralni oczyszczony.

– **A Rapacki? Cały czas mówi pan o Adamie Kruczkowskim.**

– Za chwilę o Rapackim. Był wtedy Ministrem Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Podczas wakacji 1952 roku uczestniczył w spotkaniu aktywu studentów polskich w ZSRR, na którym jako członek Biura Studentów, zajmowałem miejsce w prezydium. Zabrałem głos w dyskusji, by przekonać uczestników, że nie powinniśmy posyłać studentów do Związku Radzieckiego, bo „my tracimy wiarę w socjalizm”.

– **Jak zareagował Rapacki?**

– Podsumowując dyskusję, najpierw mówił o sprawach ważnych, a potem, niby na marginesie, napadł na całą salę w związku z moją wypowiedzią. „Tu siedzi – mówił – aktyw studentów polskich w ZSRR. Przed nami młody, niedoświadczony kolega wypowiedział się tak, jakby to było złe, że wyjeżdżacie na studia do Kraju Rad. I nikt z was nie zaprotestował! Trzeba rozumieć sprawy. W Związku Radzieckim też spotkacie ludzi i świnie. Ale trzeba wyciągać z tego mądre wnioski”.

Potem podszedł do mnie, młokosa, po zakończeniu spotkania i mruknął: „musiałem...” Nie skończył. Podszedł ktoś trzeci.

– **Jak pan myśli – dlaczego Rapacki pana obronił?**

– Często się nad tym zastanawiałem. Razem z Kruczkowskim obronili

mnie przed wyrzuceniem ze studiów. Wiadomo co to wówczas oznaczało. Myślę, że on nie bronił tylko mnie, ale swego środowiska. Był synem Wincen-tego Rapackiego, działacza spółdzielczego z czasów świetności polskiej spółdzielczości. Moi dwaj stryjowie (ludowcy) i wujek (PPS-owiec) byli też działaczami spółdzielczymi. Rapacki chyba wierzył w to, że dziecko z dobrego, według niego środowiska, nauczy się żyć w tym narzuconym nam świecie.

– **Ciekawe, że wśród ludzi, którzy wywarli wpływ na pana losy, w czasie studiów w ZSRR, wymienił pan dotąd tylko Polaków i moskiewskiego pijaka. Czy nie było nikogo innego?**

– Był profesor psychologii, jeszcze przedrewolucyjnego chowu, (bezpartyjny bolszewik, jak mówiono o nim w uczelni, bo z racji pochodzenia społecznego nigdy nie wstąpił do partii). Nazywał się Kornilow, profesor psychologii. Do Kornilowa trafiłem, gdy rozczarowałem się nieco sowiecką pedagogiką i skoncentrowałem się na studiowaniu psychologii. Zwierzyłem mu się, że mam zdolność wyczuwania, gdy coś się złego dzieje moim bliskim. Przeżyłem też sytuacje, w których moi bliscy czuli się nieswojo, gdy ja źle wobec innych postąpiłem. Dlatego chciałem się zająć parapsychologią: szukam jego pomocy w tej dziedzinie.

– **I co powiedział?**

– Że psychologia nie ma odpowiednich narzędzi by naukowo zająć się tą problematyką. Jeśli zaryzykuje – mogę zostać nie naukowcem, ale szarlatanem. Dlatego on ma dla mnie inną propozycję: Profesor Gukasowa, z Wydziału Literatury, prowadzi ciekawe seminarium dla kandydatów na pisarzy. Przypadki, które mnie interesują można opisywać w literackiej formie. „Niech

pan idzie – mówi – do niej z mojego polecenia”. U Gukasowej, po zdaniu dodatkowego egzaminu państwowego, ukończyłem, na prawach drugiego Wydziału, specjalizację w dziedzinie literatury dziecięcej. Ale to była jedynie przykrywka. Ważne były dyskusje „z kandydatami na pisarzy” nad literaturą rosyjską, światową, w gruncie rzeczy dyskusje o wartościach, z czego myśmy sobie do końca sprawy nie zdawali. Teraz, kiedy sam mam 80 lat, dopiero ich rozumiem. On sam, Profesor Kornilow, nie mógł prowadzić takiej pracy. Zanim był pod okiem władz. Ona robiła to za niego, także w stosunku do nas, obcokrajowców. Dziś z dużą sympatią myślę o tych ludziach, którzy wówczas inwestowali w nas, nie wiedząc co z nas naprawdę wyrośnie.

– Traktuje ich pan jak przyjaciół Moskali? Miał pan przyjaciół również wśród rosyjskich studentów?

– Miałem wiele dobrych kolegów i koleżanek. Jednego z nich traktowałem jak przyjaciela. Był moim partnerem od szachów. Nazywał się Jurij Barzych. Był niewidomy. Potrafił zagrać w pamięci całą partię. Siadał często za mną lub obok mnie w czasie nudnych wykładów i szeptał „pion e2-e4”. Ale ja potrafiłem zagrać tak najwyżej kilkanaście ruchów. Dopiero po zakończeniu studiów, gdy miałem już wracać do Polski, powiedział mi, że stracił wzrok po napadzie „Jeźcówców” na jego ojca, korespondenta miejscowej gazety.

Zrozumiałem, że bał mi się wcześniej to powiedzieć. Ja także mu o wielu swoich przeżyciach nie mówiłem. Nie była to więc przyjaźń, ale ostrożne poczucie wspólnoty.

– Przejdziemy do okresu po studiach.

– Wydarzenia październikowe 1956 roku.

– Ale...

– Wiem, wiem. Mam mówić o konkretnych ludziach, nie o wydarzeniach. Kto po moich studiach zmienił moją drogę życiową? Myślę, że były to osoby związane z harcerstwem: harcmistrz Józef Kret, harcmistrz Zofia Zakrzewska, Naczelnik odrodzonego w 1957 r., Krajowego ZHP i harcmistrz Jan Kinast, z-ca Naczelnika tego Związku.

Józef Kret był jedną z kilkunastu osób, które przeżyły karną kompanię w Oświęcimiu. Przed wojną organizował razem z Aleksandrem Kamińskim wiejskie drużyny harcerskie. Jego działalność zainspirowała mnie w 1956 do napisania w „Drużynie” artykułu pt. *Czy będzie harcerstwo wiejskie?* Po przeczytaniu tego artykułu Pani Naczelnik ZHP zaproponowała mi opracowanie programu i zorganizowanie zespołu przekształcającego dotychczasowe drużyny ochockie (działające w Organizacji Harcerskiej PL) w drużyny harcerskie. Mianowała mnie Szefem Sztabu „Wieś” Głównej Komendy Harcerstwa. Dało mi to dwa lata bardzo ciekawej działalności, opisanej w publikacji *Lubimy Wesolo Działać*, prowadzonej w kręgu tak ciekawych ludzi, tj. Jacek Kuroń, szef Walterowców – drużyn harcerskich nawiązujących do tradycji przedwojennego Czerwonego Harcerstwa; Mieczysław Krajeński, Kierownik Działu Drużyn Starszych GKH, sprowadzony do Warszawy z Olsztyna, gdy z punktu widzenia Pani Naczelnik, ja za bardzo „obrosłem w piórka”; Jan Kinast, późniejszy wiceminister w MSZ, oczywiście urodzony dyplomata. W GKH był z-cą Naczelnika i Szefem Wydziału Zagranicznego. To on, w 1959 r., gdy nasze relacje z panią Naczelnik nieco się pogorszyły, przyszedł do mnie z informacją, że Jurek Żołnierkiewicz zgła-

sza się na doktoranturę w WSNS. Odpowiedziałem: „Kiedy mam składać papiery?”. Zawsze rozmawialiśmy na skrót. Zostałem doktorantem w jedynie mnie wtedy interesującej dziedzinie – socjologii. Moim promotorem został Zygmunt Bauman, dzięki któremu znalazłem się na seminarium prowadzonym na Uniwersytecie Warszawskim przez profesora Juliana Hochfelda, wśród takich osób jak znana dziś powszechnie pani profesor Jadwiga Staniszkis, profesor Wesołowski czy zmarli młodo doktorzy Kuba Banaszekiewicz i Aleksander Owieczko (dla mnie Olek, mistrz delikatnej ironii, długoletni sekretarz Studiów Socjologicznych). Profesor Zygmunt Bauman był chyba ostatnią z postaci, które wywarły duży wpływ na moje życie. Zawdzięczam mu wybór tematu pracy doktorskiej oraz taki sposób promowania, który pozwolił mi na poszukiwania własnej drogi.

– **Zaskoczył mnie pan taką deklaracją. Z profesorem Baumanem spotkał się pan po raz pierwszy, kiedy miał pan 28 lat. Nikt później nie miał takiego wpływu na pana losy, jak ludzie dotąd wymienieni?**

– Sądzę, że nikt, ale pańska wątpliwość uświadomiła mi, że powinienem wymienić jeszcze dwie osoby: profesora Stefana Ignara i dr Teresę Malec, kanclerza WSiiE TWP w Olsztynie. Profesor Stefan Ignar, w okresie o którym mówimy Prezes ZSL, wicepremier, a równocześnie Dyrektor Instytutu Społecznego na Wydziale Ekonomicznym SGGW, był jedynym z recenzentów mojej pracy doktorskiej, opublikowanej pt. *Z badań nad aktywnością zawodową i społeczną chłopów*¹.

¹ F. W. Mleczo, *Z badań nad aktywnością zawodową i społeczną chłopów*, Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1964.

Gdy po 1968 roku zostałem „wyrotowany” z pracy w WSNS, profesor Ignar zaproponował mi pracę w swoim Instytucie na Wydziale Ekonomiczno-Rolniczym SGGW, gdzie pracowałem aż do emerytury. To on wprowadził mnie też do Komitetu Ochrony Środowiska Polskiej Akademii Nauk, co miało duży wpływ na moje zainteresowania badawcze w pewnej fazie życia. Dlatego ma pan rację. Oni również mieli ogromny wpływ na moje zawodowe życie... Jak pan widzi, trochę się w tych wspomnieniach pogubiłem.

– **Trudno mi było uwierzyć, że po doktoracie nikt już na pana losy tak mocno nie wpłynął.**

– Chodziło mi o podkreślenie tego, że mniej więcej po doktoracie na tyle dorosłem, iż przy każdej podejmowanej przez siebie decyzji wiedziałem czego chcę.

– **Proszę o przykłady.**

– Po pierwsze, wiedziałem już czym chcę się zajmować. Z harcerstwa wyszedłem z pewną legendą. Wśród instruktorów miałem wielu zwolenników. Przez dwie kadencje byłem nieoficjalnym (tzn. niewskazanym przez partię) kandydatem na naczelnika ZHP. To się zmieniło, gdy w pewnym okresie sekretarzem KC ds. młodzieży został późniejszy Wicepremier oraz Minister Kultury i Sztuki – Józef Tejchma. Przysłał do mnie swego współpracownika, a mego kolegę Janka Szewczyka, z informacją, że jest zgoda, żebym został naczelnikiem, ale muszę zgłosić się do Sekretarza KC ds. Organizacyjnych, Edwarda Babiucha dla omówienia form współpracy z KC. Miałem ochotę na wypróbowanie swoich sił w ZHP. Byłem też gotów na współpracę z Tejchmą i Babiuchem. Ale... Wiedziałem, że zgłaszając się do Babiucha – nie

mam prawa liczyć na samodzielność w roli Naczelnika ZHP. Postanowiłem przeczekać. Przyjmą mnie bez takiej wizyty – zostanę Naczelnikiem. Nie przyjmą – nie będę sobie tym zawracał głowy.

– **I nie przyjęli?**

– Okazało się, że szczęśliwie dla mnie, nie przyjęli.

– **Słuchając pana odnoszę wrażenie, że był pan ulubieńcem władz PRL. Działy na pana korzyść nawet wtedy, gdy pana „olewały”.**

– Coś w tym jest.

– **Czy w czasach PRL nie był pan prześladowany? Teraz wielu przypomina sobie szykany jakich doznawali w latach PRL.**

– We wspomnianiu dawnych lat liczy się bardzo specyfika naszego podejścia do życia. Gdybym był typem człowieka, który pamięta głównie tych, którzy go krzywdzili, moją bohaterką byłaby donosicielka, której nazwiska nawet nie wspominam. Ale moim bohaterem jest ten, kto mnie przed jej donosem obronił. Ale, skoro mnie pan w tym kierunku popycha, podam panu przykład prześladowania. Miał miejsce w związku z moją służbą wojskową. W związku ze studiami za granicą, w normalnym czasie ominęła mnie służba wojskowa. Przypomniano sobie o mnie, gdy byłem już doktorem socjologii. Razem z doktorem Zdzisławem Grzelakiem („Miszą”) powołano mnie do odbycia służby wojskowej w Pracowni Socjologicznej GZP WP. Odbyliśmy przewidziane ćwiczenia, potem prowadziliśmy badania z zakresu socjologii wojska. Celnie strzelałem. Zdałem na piątki wszystkie egzaminy ze strzelania, ale ku zaskoczeniu moich bezpośrednich dowódców – pułkowników Olczyka i Staciwy, którzy drogą

służbową złożyli wniosek do ówczesnego Ministra Obrony Narodowej o mianowanie mnie (podobnie jak kilkudziesięciu innych osób) na stopień podporucznika – Marszałek Marian Spychalski przy moim nazwisku skreślił (nie wiem czy osobiście) podporucznik i napisał kapral. Do dziś przechowuję jako pamiątkę nietypową książeczkę oficerską z wpisem stopnia „kapral”. I wie pan co jej zawdzięczam? Że nie powoływano mnie później na żadne okresowe ćwiczenia, które dokuczały potem wielu moim kolegom.

– **Domyśla się pan czym kierował się Marszałek Spychalski?**

– Jako przewodniczący Rady Przyjaciół Harcerstwa znał mnie osobiście. Nie był entuzjastą mojego podejścia do harcerstwa, a na dodatek, niedługo przed posłaniem wniosku o moje mianowanie oficerskie, odbyło się w obecności Marszałka Spychalskiego, spotkanie w sprawie działalności ZHP, na którym wystąpiłem z ostrą krytyką aktualnego stanu związku. Podobno Spychalski przyjął to jako krytykę wymierzoną w niego. Dziwiła mnie ta jego małostkowość, ale w jakimś sensie czułem się u honorowany. Marszałek i starszy szeregowiec Mleczko. Godzien marszałkowego kopniaka. Nie to wtedy było dla mnie ważne.

– **A co?**

– Po zrobieniu doktoratu, ważne było to, co sobie właśnie uświadomiłem, że w życiu każdego człowieka nadchodzi moment, kiedy już wie kim jest i jakie warunki może stawiać w życiu. Nadchodzi świadomość tego co jest ważne. Ja ten moment wyczułem. Od tego momentu nie mam, tak mi się przynajmniej wydaje, ludzi, którzy o moim losie przesądzają z zewnątrz. Mam tych, od

których najwięcej się nauczyłem mimo, że nie przesądzały o moim losie. Ba, czasem nawet o swym wpływie nie wiedzieli. I mam takich, którzy mi moje życie przedłużyli. O nich chciałbym koniecznie powiedzieć.

– **Kim są pańscy ludzie wpływu, którzy o tym nie wiedzieli?**

– W moim przypadku głównie moi studenci. Przez całe życie miałem do nich szczęście.

– **Na czym polega szczęście nauczyciela?**

– Przede wszystkim na tym, że trafia na osoby niezwykle. Dam panu przykłady. Przykład pierwszy – profesor dr habilitowany Włodzimierz Pawluczuk. Sam wybrał sobie mnie na promotora. Było to w 1964 roku. Jako młody doktor socjologii pierwszy raz prowadziłem seminarium magisterskie. Było już trzecie kolejne spotkanie, gdy obok przypisanych do mnie już seminarzystów, pojawił się ktoś nowy. Podszedł w czasie przerwy z pytaniem, czy mógłby u mnie pisać pracę magisterską. Na jaki temat? – zapytałem

– O sekcje prawosławnej.

– Socjologia religii. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

– Ja się trochę na tym znam”. To szczęście trafić na kogoś takiego. Skusił mnie. Powiedziałem więc:

„Dobrze. Ja będę pilnował poprawności metodologicznej – żeby to było naukowe, a nie własne »wizjonerstwo«. A pan odpowiada za resztę.

– Właśnie dlatego pana wybrałem.

– Jak to mnie pan wybrał?

– Spędziłem po godzinie u każdego promotora. Tylko pan mi pasuje”.

Bezczelny to on był od początku. Napisał pracę, która po poprawkach wskazanych przez prof. Marię Ossowską stała się jego pracą doktorską.

Profesor W. Pawluczuk socjolog, antropolog i religioznawca, to w duszy także poeta. Próbowaliśmy razem z nim pisać sztukę dramatyczną na materiale z czasów kościuszkowskich, ale nie dotrymałem kroku. Myślę, że więcej się od niego nauczyłem niż on ode mnie. Przykład drugi ma dla mnie wydźwięk symboliczny. Dotyczy całej grupy moich magistrantów, którzy bronili prace w roku mojego 80-lecia. Czytelnicy sami ocenią, niektóre z tych prac. Ich fragmenty będą drukowane w tej książce. Są analityczne i zaangażowane jak np. *Pegeerowski alarm*. Dla mnie człowiekiem-podarkiem, zjawiskiem podobnym jak Pawluczuk, jest Jadwiga Tylman, autorka ciekawej w formie i treści, samodzielnie napisanej pracy o śmieciarzach. Czy będzie kiedyś profesorem, jak Pawluczuk? Nie wiem. Jest szefową firmy, do różnych misji ma predyspozycje. Pawluczuk twierdzi, że musiał zostać profesorem, bo do niczego innego się nie nadawał.

– **Ciekawi mnie pański przykład trzeci.**

– Nie będzie prostym powtórzeniem poprzednich. W swojej karierze naukowej prowadziłem seminarium magisterskie w WSNS, na UJ, w SGGW i w WSiE TWP w Olsztynie. W każdej grupie pojawiał się jakiś skarb. Ale tym razem podam przykład naukowo niezrealizowany. Rzecz miała się tak: poproszono mnie o poprowadzenie seminarium doktorskiego w jednej z uczelni, która w międzyczasie utraciła prawa nadawania doktoratów. Jednym z doktorantów był Marek Książek. Absolwent historii sztuki, były członek STS, w pracy zawodowej wieloletni wiceprezes Cepelii, a od kilku lat orędownik niepełnosprawnych. Dla mnie przede wszystkim człowiek niezwyklej in-

tuicji. Zamarzyło mi się, by podjął, pod moim kierownictwem, pracę z pogranicza socjologii i psychologii, w zakresie parapsychologii. Taką, o jakiej ja marzyłem, gdy szedłem na konsultację do Kornilowa. Fatum sprawiło, że ta praca też nie została zrealizowana. Być może wkraczam już w zakłętę rewiry?

– **Zostawmy te rewiry. Ze swej strony powiem, że wśród przytoczonych przez pana przykładów, spodziwiałem się też innego.**

– O kim pan myśli?

– **O premierze Waldemarze Pawlaku.**

– Waldemar Pawlak nigdy nie występował w roli mojego studenta. Przed laty byłem oficjalnie i od czasu do czasu bywam jego doradcą, co w przypadku socjologa interesującego się także socjotechniką, jest rzeczą naturalną. Nasze relacje nigdy nie układały się jako relacje mistrz i uczeń. Bywałem (oficjalnie i prywatnie) jego doradcą. Szybko jednak przekształcił się w partnera, a z biegiem czasu uzyskał nade mną przewagę w kilku dziedzinach. Nawet w takich, w których ja powinienem być lepszy. Pawlak ma niezwykły instynkt wyszukiwania ciekawych publikacji w dziedzinie społecznej. O wielu z nich dowiaduję się właśnie od niego. Ma też znacznie większe ode mnie doświadczenie gospodarcze. Zaliczam go – z mojego punktu widzenia – do takich osób jak Pawluczek czy Tylman, które w jakiejś fazie życia występowały w roli moich uczniów, ale od początku były partnerami, pod wieloma względami lepszymi ode mnie. Pawlaka odróżnia od nich również to, że nie jest człowiekiem nauki, ale wiedzę potrafi przekształcić w umiejętność. To wyjąt-

kowy polityk. Gdyby swoją karierę najmłodszego premiera, który potrafi odejść, a potem wrócić, zrobił w USA napisano by o nim już kilka książek i cieszyłby się powszechnym uznaniem, na które zasługuje.

– **Dziękuję panu za rozmowę.**

– Ale chcę jeszcze powiedzieć o ludziach, którzy przedłużali mi życie.

– **O kim pan myśli?**

– O lekarzach i o opatrznosci.

– **A to mnie pan zaskoczył.**

– Jestem człowiekiem, który w jednym roku przeżył 3 katastrofy: wypadek samochodowy z dwukrotnym dachowaniem i przeskoczeniem przedniej szyby na tylne siedzenie bez uderzenia w nasze głowy, tj. głowy kierowcy i moją; trzęsienie ziemi w Bukareszcie, w czasie którego, a ściślej mówiąc tuż przed nim, znajdowałem się w sali konferencyjnej Rumuńskiej Akademii Nauk, w której w czasie trzęsienia spadł sufit – ale nas tam już nie było oraz zawiniony własną nieuwagą, upadek na piwniczne, betonowe schody w naszym domku na działce. Gdy o tych trzech wydarzeniach opowiedziałem jednemu z moich szachowych partnerów, profesorowi filozofii, niedowiarkowi Jurkowi Ładyce, powiedział: „Opatrzność nad tobą czuwa. Będziesz długo żył”. Pan profesor Kampka w podobnej sytuacji mruknął: „Opatrzność czuwa nad starymi grzesznikami”. Opatrzność „spersonalizowana”, czuwała też nade mną, gdy dostałem udaru. Późnym wieczorem przestałem ruszać prawą ręką. Zamilkłem. Żona. Telefon. Karetka pogotowia. Szpital na Sobieskiego. Pani doktor Anna Bochyńska, stwierdziła, że niezbędne jest błyskawiczne użycie środka, na zastosowanie którego potrzebna jest zgoda. Mrugam, że tak, że

się zgadzam. Ale to nie wystarcza. Telefon pani doktor do mojej żony. Nie odpowiada. Wyszła ze Smykiem na spacer. Pani doktor dzwoni do mojego syna. On jest poza Warszawą, ale dozwania się do swoich przyjaciół z osiedla, w którym mieszkamy, oni znajdują żonę. Żona wyraża zgodę – telefonicznie. Pani doktor jej ufa. Stosuje ten środek. Dzięki niej i pomocy pani Bożeny Brze-

skiej, logopedy, szybko odzyskałem mowę, sprawność fizyczną i mogłem wrócić do swojego naukowego życia. W hołdzie obu paniom napisałem *Cywilizację podarków*. Dziś myślę o nich, jako o ludziach, którzy wywarli największy wpływ na moje życie. (2011)

Tadeusz Skoczek

Franciszek W. Mleczko w moich zapiskach

18 czerwca 2011

Byliśmy z grupą znajomych u Kasia Jaszczyka w Złotokłosie. Zgromadziła nas jubileuszowa okoliczność związana z Markiem Książkiem. Czy to możliwe, aby ten jowialny i niezwykle uczynny osobnik miał już sześćdziesiąt pięć lat? Wprawdzie ma wyraźną nadwagę, co przy jego niewielkim wzroście potęguje niepokój kolegów (kto jej nie ma, ja też z tym bezskutecznie walczę), ma wyraźne tendencje przywódcze przejawiające się w dyktatorskim przywoływaniu kolegów do aktywności na wielu różnych obszarach, ma też wiele przywar wieku dojrzałego, których nie wypada przy jubileuszu wypominać – ale nikt nie podejrzewa go o wiek emerytalny...

Poznałem Marka pod koniec lat siedemdziesiątych, podczas dorocznie organizowanych Targów Sztuki Ludowej na krakowskim Rynku. W 1974 roku rozpocząłem studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Rodzice pomagali mi, głównie w zakresie „żywniowym”, dostarczaniem płodów rolnych. W znanym akademiku „Żaczek”, przy krakowskich Błoniach, mieszkało nas wielu

inteligentów „z awansu”. Studenci pochodzący ze wsi i małych miasteczek żyli skromnie, natychmiast też poszukiwali źródeł zarobkowania, aby odciążyć pozostawione na prowincji rodziny. Naturalnie każdy przywoził w niedzielę swoją „wałówkę”, dzielono się nią z kolegami, biesiadowano. Ja przywoziłem śledzie marynowane, przygotowane przez mojego dziadka, Marek Siarkowicz kremówki z Gorlic, a inny kolega bimber. Wszystko to naraz konsumowaliśmy, nieraz w jeden wieczór. Na inne wieczory należało zapracować. Wielu kolegów postarało się o książeczki studenckiej spółdzielni „Żaczek”, co zaradniejsi mieli ich kilka. Leszek Wołosiuk, nieco starszy kolega z polonistyki zaprowadził mnie do organizatorów owych targów.

Wstyd przyznać, ale krępowała mnie ta praca. W tamtych czasach ukrywało się swoje pochodzenie. Na pytanie: „Skąd przyjechałeś do Krakowa?” – odpowiedziałem – „Z Bochni”. Prawdopodobnie chciałem uniknąć odpowiedzi, w pełni prawdziwej, kryłem swoje wiejskie pochodzenie. Zamiast wymieniania rodzinnej wsi Proszówki,